Nr 334.

Dodatek do „Gazety Narodowej"

z dnia 2 Grudnia 1900.

Po za Kulparkowem.

Od jednego ze starych demokratów otrzymujemy następujące pismo z prośbą o zamieszczenie:

Szpital obłąkanych przygnębiający przedstawia obraz.

Widzisz ludzi na pozór zd owych, silnych, ale z bezmyślnym wyrazem twarzy, z okiem z poza którego dusza nie wygląda — to idyoci. U innych maluję się na twarzy cicha, spokojna, bezdenna rozpacz — to melancholicy. Inni najszczęśliwsi chodzą z powagą, z dumnem podniesionem czołem, gdyż są królami, miliarderami, wielkimi jenialnymi artystami, uczonymi, zbawcami ludzkości — ci są dotknięci manią wielkości. Odmianą tejże manii są ci nieszczęśliwi, którym się zdaje, że cały świat czycha na ich zgubę — gotowi też bić, kąsać i mordować każdego, kto się przybliży — są to furyaci umieszczeni w osobnych celach, spętani w kaftan bezpieczeństwa.

Wychodzisz z Kulparkowa ze ściśnietem sercem. Żal ci tych biednych ludzi, straconych po większej części na zawsze dla rodziny i dla społeczeństwa. Ale i do społeczeństwa czujesz pewną urazę, gdyż źródłem tej strasznej choroby są przeważnie: nędza, alkoholizm, choroby zakaźne. Idziesz więc między ludzi zdrowych, rozumnych, dobrych i snujesz plany i projekta, które im przedstawisz, aby zatamować te trucizną zaprawne źródła. Aliści po tej wizycie w Kulparkowie świat ci się innym przedstawia, zdaje ci się że połowa ludzi chodzi z półzwaryowaną głową, ogarnia cię rozpacz, obawiasz się sam przystępu melancholi. Może jesteś ofiarą przykrej hallucynacyi? Przecierasz oczy, wglądasz głębiej i uważniej w umysły i serca ludzkie. Nie — widzisz niestety dobrze i jasno. Połowa ludzi — obliczasz dobrze — najmniej połowa jest duchem i umysłem pokrewna z tymi nieszczęśliwymi, których pozostawiłeś w Kulparkowie. A ci są wprawdzie straceni dla społeczeństwa, zamknięci jednak w murach szpitala nie są dlań szkodliwi, tamci szerzą w niem straszliwe spustoszenia. Są najprzód ludzie pozbawieni wszelkiego poczucia moralności, zbrodniarze, mordercy, złodzieje, oszuści, od których jednak społeczeństwo broni się rękami i nogami, których osadza w więzieniu. Ale ileż jest takich, którzy obok zaniku etycznego instynktu, obdarzeni są tak wyrafinowanym sprytem, lub stoją tak wysoko, że ramie prokuratora dosięgnąć ich nie zdoła! Są dalej miliony głupców, rodzonych braci idjotów i kretynów z Kulparkowa. Brutalny egoizm, ograniczony umysł, oschłość serca, obojętność na losy narodu i bliźnich, są ich charakterystyczną cechą.

Pessymiści, którzy stracili wszelką wiarę w lepszą przyszłość ludzkości i Ojczyzny a nawet w samych siebie, odpowiadają jak smutne echo melancholikom z domu obłąkanych. Ale po głupcach i na pół idjotach najliczniejszą falangę stanowią dotknięci manią wielkości. Poczucie dumy i pychy gnieździ się wszędzie, na szczytach i na nizinach, niejednokrotnie z głupotą w miłem połączeniu. W prywatnych stosunkach mania ta, z którą się na każdym prawie kroku wszędzie spotykamy, nie jest jednak bardzo niebezpieczna i otacza tylko maniaka aureolą... śmieszności.

Najgorsze w społeczeństwie s eje klęski, mania wielkości na pole polityki przeniesiona. Niemcowi lub Rosyaninowi zdaje się, że jego narodowość, język, religia są nietylko w najlepszym gatunku, ale że są jedynemi, które ludzkość zbawić mogą i ten najniebezpieczniejszy kandydat do Kulparkowa, z zimną krwią, zasem z dobrą wiarą morduje i niszczy całe narody, które przemocą lub sprytem opanował. Pan wielkiego rodu i imienia, którego jeden antenat zginął na polu chwały ale za to inny za srebrniki zdradzał ojczyznę, ma najgłębsze przekonanie, że w nim płynie wyższa szlachetniejsza od innych śmiertelników krew, że on powołany jest do wyłącznego dowództwa nad społeczeństwem, z zapałem broni fortecy swych przywilejów i z pogardą spogląda na rzesze oblegających ją tłumów. Za to włościanin mniema, że on jest dominującą warstwą, że Polska będzie chłopską, albo wcale jej nie będzie — a wyrobnik woła wielkim głosem, że szczęście dopiero wówczas na ziemi zakwitnie, gdy on nad światem panowanie obejmie. Warstwy inteligencyi mają się za coś wyższego od warstw bezpośrednią wartość dóbr produkujących, które znów odpłacają im pięknem za nadobne. Nawet żydek „macht sich groiss", marzy o panowaniu świata.

Ale czyż tylko samolubstwo jest wyłącznem źródłem tej epidemicznej choroby? Nie jest jeszcze inny szkodliwy mikrob, mikrob służalstwa, zaniku poczucia własnej godności. Potęga, władza, fortuna, posiadają dziwnie przyciągającą siłę i około nich snują się zawsze roje satelitów, wielbicieli i pochlebców. Wielbią oni najczęściej dla własnego interesu, bo się w promieniach wielbionego słońca tuczą, wielbią zaś nieraz przez próżność, aby światu okazać jak blisko słońca a często przez prostą atrakcyą, jaką słońce wywiera. Republikańska Francya i demokracya czeska pełzają u stóp białego cara, największego w świecie despoty.

Zdawałoby się, że szare rzesze robotników, pracujących w pocie czoła na nędzny kawałek chleba lub potulny włościanin nie mogą posiadać tej atrakcyjnej siły. Tak jednak nie jest. Przeciwnie, tu podchlebca ma najwdzięczniejszą rolę. Z satelity przemienia się w słońce, około którego każe krążyć tłumom wyrobników lub chłopów, otacza się aureolą bohatera walczącego zą świętą sprawę a czasem tworzy sobie jedyne źródło utrzymania. A nic nie ma łatwowierniejszego, jak te łaknące lepszej doli rzesze. Zdrowa rada szczerego ich przyjaciela, aby pracą, oszczędnością, wstrzemięźliwością, cnotami chrześcijańskimi dorabiali się pomyślniejszej przyszłości, nie łatwy u nich znajdzie posłuch, ale niech im kto powie, że ma gotową dla nich receptę która wszystkie ich bole i cierpienia, bez żadnych z ich strony poświęceń uśmierzy, pójdą za nim ślepo z fanatyczną wiarą. I nic w tem dziwnego — każdy pragnie jak najszybszego zrealizowania swych marzeń. Wszakże i niejeden wykształcony człowiek łatwiej uwierzy szalbierzowi, który mu jedną jedyną receptą zupełne zdrowie przywrócić przyrzeka, niż doktorowi, który ścisłą i uciążliwą kuracyą leczyć go usiłuje.

A niech nikt nie myśli, że tłumy te nie są potęgą. Są potęgą, bo stanowią dziewięć dziesiątych części naszych bliźnich, a tych bliźnich kochać jak siebie samych winniśmy, podnosić ich dobrobyt, moralność i oświatę. Nie robi więc złego interesu, kto im cudowną receptą przypisuje.

Nie robił i nie robi złego interesu Marks, Engels, Lassale, Lafargue, Loria, Bebel i inni, a za nimi zapewne i p. Daszyński, gdy mówią tłumom robotników, że jedyną kwestyą ludzkości jest kwestya żołądka, że religia, moralność, własność, rodzina a nawet równość, wolność i braterstwo" są przestarzałymi frazesemi, którymi ludzkość dotychczas łudzono, że w razie, jeżeli społeczeństwo ich kollektywistyczne lekarstwo zażyje, ustaną w jednej chwili wszystkie choroby, które je dotychczas nurtują, ustąpą wszelkie zbrodnie i grzechy, „zarząd będzie powierzany najlepszym, dowódcy będą przedstawiać kollektywną wolę ogółu, wszyscy bez wyjątku obywatele tylko ogólne dobro mieć będą na celu, społeczeństwo opływać będzie w cnoty i dostatki, każdy dawać będzie według sił, a brać będzie według potrzeb swoich."

Jeden z mędrców socyalizmu sławi lenistwo temi wzniosłemi słowy: „próżnujmy zawsze i wszędzie, tylko nie w miłości, trunkach i próżniactwie bo nie ma na świecie dziwaczniejszej waryacyi jak zamiłowanie w pracy". Umiarkowańsi obliczają, że w tym przyszłym raju, każdy człowiek najwyżej trzy godziny dziennie pracować będzie. Takie opinie łatwiej trafiają do przekonania, niżeli rada p. Coste, aby robotnicy francuzcy wstrzymali się od trunków, na które każdy z nich w przecięciu po 100 franków rocznie wydaje, gdyż z oszczędzonych w ten sposób pieniędzy, wykupią w przeciągu 16 lat wszystkie akcye wielkiego przemysłu we Francyi i przemysł ten opanują. Rada zdrowszą i praktyczniejsza — ale dla słabej ludzkiej natury trudniejsza do wykonania.

Prawda, że chcąc zaprowadzić ten raj kollektywistyczny na tym padole płaczu, trzeba będzie urządzić kilka rewolucyi w stylu komuny paryskiej, upuścić społeczeństwu trochę krwi — ale to są fraszki w obec tak wielkiego celu. Kto chce wylądować na ziemi kwitnącej na wieki wiosną szczęścia, nie powinien wahać się płynąć do portu na falach z krwi i łez ludzkich złożonych.

Ach! gdyby tak można urządzić dla tych waryatów osobny wielki szpital, osadzić w nim i tego potentata, który grozi śmiercią każdemu, kto na jakiego z jego poddanych krzywem spojrzy okiem i tych dumnych panów, którym się zdaje, że z innej, lepszej ulepieni są gliny i tych apostołów rzesz ludzkich, którzy oszołomieni wielkością swych myśli, suggestyonują je massonom i do zbrodniczych często doprowadzają czynów! Gdyby się znalazł jaki Kraft-Ebing, któryby tym waryatom rozum przywrócił! Lekarstwo proste, choć do zażycia trudne: 10 przykazań boskich i dwa Zbawiciela. Niestety i u nas w Galicyi szpital taki byłby pożądany. A jakażby to błoga w kraju nastała era, gdyby ci ludzie, po większej części wielkiego talentu, a nieraz nawet dobrych chęci ze zrestaurowanym mózgiem opuścili bramę szpitala. Konserwatyści zezwoliliby na połączenie obszaru dworskiego z gminą, na rozszerzenie prawa wyborczego, ludowcy nie naśladowaliby błędów dawnej szlachty polskiej, nie domagaliby się „liberum veto" w Wiedniu, a w kraju wyłącznego panowania dla jednej tylko warstwy ludności, p. Daszyński zerwałby sojusz z swymi mistrzami niemieckimi i francuskimi, stanął na gruncie czysto polskim i na drodze realnej polityki uzyskałby dla proletaryatu bezporównania lepsze rezultaty. A wszyscy razem dzieliliby się w kraju na dwa wielkie stronnictwa konserwatywne i postępowe, konieczne dla utrzymania porządku i ruchu, ale w Wiedniu w jednym solidarnym hufcu walczyliby o narodowe prawa o wytępienie resztek germanizacyi kraju, o ratowanie żywiołu polskiego na kresach, o wzmocnienie samorządu kraju, o rozumne i chrześcijańskie ustawodawstwo socyalno-polityczne przez podniesienie oświaty i dobrobytu w warstwach pracujących – a nadewszystko o ekonomiczne podniesienie kraju przez uzyskanie równych z innymi krajami inwestycyj ze skarbu państwa, przez zmianę polityki fiskalnej, tamującej dotychczas rozwój przemysłu i produkcyi, o lepszą i wydatniejszą opiekę nad rolnictwem i przemysłem, nad wsią i miastem.

Znaczna większość ludności w kraju nie jest jeszcze dotknięta tą epidemiczną chorobą, ale historya i psychologia nas uczą, że maniacy wielkości zwłaszcza w chwilach przełomu nadają ton społeczeństwu. Taine wykazał, że w czasie rewolucyi francuskiej umiarkowani republikanie mieli w trzech ciałach prawodawczych liczebną większość, a mimo to ulegali terrozyzmom czerwonej mniejszości. Tak samo później za Restauracyi umiarkowani rojaliści słuchali rozkazów „białych terrorystów", zapaleńszych rojalistów, niż król sam

Nikt nie zaprzeczy, że najodpowiedniejszem mieszkaniem dla Wolfa i Schönerera byłby dom obłąkanych, a pomimo to Niemcy, nawet rozumni Niemcy potulnie idą za ich hasłami. I nic dziwnego. W chwilach wielkich katastrof w naturze i społeczeństwa, w czasie wojny lub głodu epidemie najsilniej grasują, a my w Austryi i w kraju przechodzimy właśnie przełomowy okres. Nadto masa bez porównania łatwiej ulega suggestyi i zarazie, niż poszczególny człowiek, a każdy objawia większy zapał zdolny jest do większych poświęceń, gdy stoi ramię do ramienia w stutysięcznym hufcu.

Żołnierz idzie z pogardą śmierci do walki za wolność i ojczyznę, ale z drugiej strony rozbestwiony tłum idzie z pianą na ustach mordować niewinne ofiary.

A niejeden z tych żołnierzy poszczególnie wzięty podszyty jest tchórzem, niejeden z tego tłumu w prywatnem życiu objawia cichy, łagodny temperament. Robotnik lub włościanin w cztery oczy rozwija rozumne, zdrowe, umiarkowane poglądy, zmienia się do niepoznania, gdy znajdzie się w tłumie pod wpływem mowy jakiego zapaleńca, a zmiana ta utrwala się pod wpływem dziennika w tysiącach egzemplarzy rozchodzącego się po kraju.

Gdy dwa najskrajniejsze obozy ze sobą walczą, najgorzej na tem wychodzą ci, co są w środku, narażeni są bowiem na pociski obu skrajnych obozów. To też powodowani instynktem zachowawczym, zbiegają tłumnie albo za okopy św. Trójcy, lub za szańce Pankracego. Wielu umiarkowanych demokratów nie weszło jeszcze wprawdzie do obozu Daszyńskiego, ale schroniło się pod same mury jego fortecy, a z umiarkowanego *Przełomu* przeniosło się do mocno socyalistycznie zabarwionego *Słowa polskiego*.

Lękam się rozczarowania, ale zdaje mi się, że zanosi się u nas na pewien zwrot ku lepszemu. Konserwatyści spuścili znacznie z tonu, liczny zastęp demokratów zaznaczył swe umiarkowane dążności, granice, które go od krańcowych dzielą. Różnica w opiniach być ani dla konserwatystów ani dla demokratów przeszkodą do wspólnego działania. Stronnictwo polityczne to nie regiment armii i może wytrzymać pewne różnice w zdaniach i zapatrywaniach.

W Anglii oprócz Irlandczyków istnieją właściwie tylko dwa wielkie stronnictwa i nic to ich sile i powadze nie ubliża, że w ich łonie różne widzieć można odcienia. Wspólny zaś nam wszystkim interes narodowy nakazuje, abyśmy w kraju szli za jednym ze wszystkich stronnictw złożonym komitetem centralnym wyborczym a we Wiedniu stanowili jedno solidarne Koło polskie.

Demokracya i kraj lepiej na tem wyjdą. Wojna wewnętrzna straci powoli swój ostry charakter a obydwa wielkie stronnictwa w dwóch oddzielnych hufcach zdążać będą do wspólnego celu. A u nas zwłaszcza pracą, jednością, gotujących sobie lepszą przyszłość, ta epidemiczna mania wielkości i płynąca stąd zawzięta walka, szkodliwszą jest jak gdziekolwiek indziej.

Jedynem na to lekarstwem jest boska „maksyma „kochaj bliźniego jak siebie samego , a dla nas specyalne, wydane nam przez Kościuszkę i Mickiewicza przykazanie: „*Kochaj Polskę więcej jak siebie samego, więcej jak stronnictwo swoje*".

Adwent idzie.

Wiek XIX w kościelnej rachubie czasu o kilka tygodni wcześniej niż według roku astronomicznego inaczej cywilnym zwanego — zapadnie w otchłań przeszłości.. Bo nawet „lato Pańskie" rozpocznie się w kościele w nadchodzącą pierwszą niedzielę adwentu, czyli pory (od łacińskiego *adventus* — przyjście) poprzedzającej Narodzenie Chrystusa. Okres to, z którym związanych jest wiele zwyczajów tradycyjnych, a zawsze na tle religijnem. Więc, przedewszystkiem z wieży Maryackiej w Krakowie rozlegają się codziennie przed świtem przez cały adwent hejnały na instrumentach dętych grywane na pamiątkę słów Pisma św. *Canite tuba Sion* (Śpiewaj trąbą Syonie) czyli zapowiedzianego wezwania Archanioła na sąd ostateczny.

Wyraz hejnał v. ejnał pochodzi z węgierskiego *hajnal*, co oznacza pobudkę, pieśń zwołującą. Mikołaj Rej z Nagłowic powiada: „Poczciwemu nie trzeba stróża z hejnałem na wieży, bo już stróżem u niego cnota" Hejnał krakowski składa się z trzech pieśni na cześć Matki Boskiej, a te same pieśni bywały ongi o świcie otrąbiane jako pobudka w obozach wojskowych.

Na Mazowszu i Podlasiu w wielu wsiach podotąd przez cały adwent, o świcie i wieczorem grają na ligawkach tony proste, melodyjne, które zwłaszcza w cichy a mroźny wieczór, słychać z kilkowiorstowej oddali.

Lecz co to ligawka, może słusznie zapytać niejeden z czytelników? Ligawka, może najstarszy i najpierwotniejszy z naszych instrumentów muzycznych, długa na kilka stóp, czasem prosta, częściej nieco łukowata, z węższym końcem do ust przeznaczonym, posiada krótki lejek. Nazwa sama pochodzi od legania, czyli opierania jej (zwykle na płocie) podczas trąbienia, za ciężki to bowiem instrument, aby go trzymać w rękach. Znakomity pszczelarz i botanik ks. Kluk w swójem dziele o roślinach powiada: „ligawki pastuchów bywają osowe i wierzbowe; głos ich przenikliwy, podobny do tonu oboja, lubo silniejszy i ostrzejszy".

W zwyczaju grywania podczas adwentu na ligawkach szczególniej był zamiłowany arcybiskup warszawski Choromański (um. 1838 r.) Kiedy jeszcze zajmował stanowisko proboszcza w Zambrowie (w gub. łomżyńskiej) zawsze występowała tam na Roratach i na Pasterce młodzież parafialnia grająca na wielkich ligawkach, oczywiście na cmentarzu kościelnym, a donośne dźwięki było na pół mili w okolicy słychać.

Wspomnieliśmy o Roratach. Jest to starodawne charakterystyczne nabożeństwo adwentowe, a raczej Msza św. odprawiana przed wschodem słońca i zaczynająca się od słów *rorate coeli* (spuśćcie niebiosa rosę) a z tąd nazwa. Roraty, w żadnym kraju tak solennie, jak w Polsce, nie były odprawiane. W Krakowie na Wawelu a później w Warszawie u fary Świętojańskiej, król pierwszy przystępował do ołtarza ze świecą zapaloną i na najwyższym lichtarzu w pośrodku siedmioramiennego świecznika wstawiał ją mówiąc: „Gotowy jestem na sąd Boży". Za królem czynili to inni w następującym porządku według przepięknego opisu Syrokomli p. t. „Staropolskie Roraty:"

A stany pań twa szły do ołtarza
I każdy jedną świecę rozżarza:
Król — który berłem potężnem włada,
Prymas — najpierwsza senatu rada,
Senator świecki — opiekun prawa,
Szlachcic — co królów Polsce nadawa.
Żołnierz — co broni swoich współbraci,
Kupiec — co handlem ziomków bogaci,
Chłopek — co z pola, ze krwi i roli
Dla reszty braci chleb ich mozoli.

Świeca środkowa w tym lichtarzu siedmioramiennym wyobraża Bogarodzicę, bo jak jutrzenka poprzedza światło dzienne, tak Najświętsza Marya Panna poprzedza słońce sprawiedliwości Jezusa Chrystusa i najwyższą miłością ku niebu pała.

Lubo Roraty odprawiają się przed wschodem słońca, a mroźna i często zadymkowo śnieżna pora utrudnia wyjście na powietrze, jednakże wszystkie kościoły na tem adwentowem nabożeństwie są zazwyczaj przepełnione nabożnymi.

W myśl przepisów Kościoła, w porze adwentu ustają huczne zabawy, zwłaszcza taneczne a lud oprócz smętnej muzyki ligawkowej unika wesołych śpiewek, bo jak powiada stare przysłowie o patronach rozpoczynających adwent:

„Święta Katarzyna klucze pogubiła.
Święty Jędrzej znalazł, zamknął skrzypki zaraz."

ROZMAITOŚCI.

Miss Helena Gould, córka amerykańskiego króla kolejowego, została zmuszoną ogłosić w pismach, że w żaden sposób nie może pomódz tym wszystkim, którzy się do niej o pomoc zgłaszają. Miss Gould słynie ze swego miłosierdzia, ale tej sławie zawdzięcza niezliczone, najbezczelniejsze petycye. W ostatnich miesiącach żądano od niej średnio po milionie dolarów tygodniowo, na cele najrozmaitsze, od utopijnych kolonij na Kubie aż do wynalazków *perpetuum mobile*. Większość petentów stanowią: wynalazcy, szaleńcy, oszuści oraz damy, żyjące nad stan. Miss Gould pomagała, ile tylko mogła, ale prośby wzrastały w stosunku do jej miłosierdzia, więc teraz ogłasza publicznie, że chcąc wszystkich zadowolić, powinnaby mieć nie 40, ale 400 milionów.

Ładną anegdotkę opowiadają o Lamartinie. Pewien młody poeta zwrócił się do niegolisłownie z prośbą, by pozwolił na przypisanie sobie jego utworów. Lamartine odpowiedział, że pragnąłby przejrzeć rękopis. Gdy poeta przyszedł, Lamartine, czytając, jednocześnie mu się przyglądał. Zauważył, że młody człowiek, ubrany ubogo, miał wygląd bardzo nędzny; znać było, że mu brakowało chleba. Wiersze zaś były niezłe; gdzieniegdzieniegdzie przeświecał nawet błysk talentu. — I owszem — rzekł Lamartine — przyjmę zamawiam sobie kilka egzemplarzy. — Przy tych słowach wcisnął mu w rękę kilka sztuk złota. Młody poeta dziękował gorąco. Lamartine przeprowadził go do przedpokoju. Było to wśród zimy. Biedak miał na sobie ubranie letnie, stare i łatane, które żadną miarą od mrozu zabezpieczyć go nie mogło. Widząc, że młody człowiek zabiera się do odejścia. Lamartine zdejmuje z wieszadła własny swój, nowiuteńki płaszcz i podaje go młodzieńcowi — Zapomniałeś pan płaszcza swego. — To nie mój — odrzekł poeta. — Musi być pańskim, skoro nie jest moim —, rzecze Lamartine i ruchem łagodnym zawiesza płaszcz na ramionach młodego poety.

Wyprawa królowej Wilhelminy sporządzona jest przeważnie w Amsterdamie. Bielizna szyje się w przytułku dla wdów i sierot w Hadze i Arnheim. Suknia atłasowa ślubna została zahaftowana w szkole haftów przy muzeum Rjiks w Amsterdamie, a będzie uszyta w Paryżu.

Przepowiednie Falba. W pierwszych dniach grudnia zapowiada Falb obniżenie się temperatury i śnieg. Około 8 grudnia będzie w całych Niemczech deszcz i ciepło, a stan ten z małymi wyjątkami dotrwa aż do 20 tegoż miesiąca. W tym czasie nawet możliwe są burze. Od 20 aż do końca grudnia będą znowu ulewne deszcze, a w końcu śniegi. Dnie 6 i 22 są dniami krytycznymi drugiego rzędu.

Wezuwiusz znajduje się obecnie w nowej fazie wybuchu. Jego krater wyrzuca od kilku dni kamienie, lawę i popiół. Dokoła krateru otworzyły się czeluści, ziejące fosforem. Cypel wewnętrzny krateru runął. Wnętrze pełne lawy, tak iż obawiają się, by nie zaczęła wylewać się po stokach wulkanu. Dokoła utworzono kordony, aby turyści nie mogli się zbliżyć. Trzęsienia ziemi są dość silne i częste. W nocy widok wspaniały.

Pokłady węgia pod Paryżem. Według doniesienia dzienników, natrafiono przy kopaniu studni artezyjskiej, pod samym placem wystawy w Vincennes na piękny gatunek węgla. Grubość warstwy ma wynosić 2 metry. Zachddzi tylko pytanie, czy będzie można i w jaki sposób wyzyskać to niespodziewane bogactwo, bez szkody i niebezpieczeństwa dla mocno zabudowanej okolicy miasta.

Nowości literackie. Nakładem spółki wydawniczej polskiej w Krakowie wyszły następujące dzieła:

Almanach jubileuszowy uniwersytetu.
Babirecki: Mapa Rzeczypospolitej Polskiej.
Bąkowski: Posażna panna.
Berg: Zapiski o powstaniu polskiem, 3 tomy.
Chotkowski: Dzieje zniweczenie św. Unii.
Daszyńska Golnicka: Własność rolna.
Dunajewski: Mowy ministeryalne.
Dzieduszycki: Wiek XIX
Gide: Zasady ekonomii społecznej.
Golian: Listy duchowne.
Jarosiński: Katolicyzm socyalny.
Jubileusz Czasu.
Kalinka: Rozmyślanie o męce Chrystusa.
Dzieła Tom XI Dezydery Chłapowski.
Karbowiak: Brak nauczycieli.
Szkoła katedralna.
Kołaczkowski: Wspomnienia, Księga III.
Korolenko: Niewidomy muzyk.
Kostomarow: Kudejar.
Kowerska: Powieści.
Z pamiętnika ornitologa.
Lejkin: Kędy pomarańcze dojrzewają.
Pod hiszpańskiem niebem.
Łada! Z doliny łez.
Poroszin: Przed burzą i Stóż nocny.
Roztworowski: Wspomnienia.
Sałtykow: Nowele.
Spis: Rozprawa egzegetyczna.
Święta Teresa od Jezusa.

38

Violetta Merian.

Z francuskiego

napisał

Augustyn Filon.

(Ciąg dalszy).

Wyszedłszy na ulicę, skierowała swe kroki do przystani omnibusów na bulwarze; wkrótce wsiadła, a po upływie kwadransa opuściła go na skręcie ulicy Turenne, którą przeszła prawie do połowy długości i zatrzymała się aż przed niskiemi drzwiami domu, nad któremi widniał napis:

Wyższa szkoła wychowawcza żeńska
p. Gailleton.

Zaledwie weszła w wąską długą sień, kiedy młoda, może piętnastoletnia panienka, zdająca się oczekiwać na nią, zbiegła ze schodów.

— To ty, Magdaleno?

— Ja, mamo... Tak późno dziś przyszłaś!

— Wiesz przecie, że dzisiaj sobota!

Magdalena wsunęła swą rękę w ramię Violetty. Od miesiąca nosiła już długą suknię. a słusznym wzrostem dosięgła już swej przybranej matki, lecz niezręczny chód zdradzał, że ani do tego wzrostu, ani do manier „dorosłej panny" jeszcze się nie przyzwyczaiła i nie dorosła.

Od kilku lat już, przyprowadzała Viotetta w ten sposób, co wieczora Magdalenę z pensyonatu panny Gailleton do domu.

Dawniej, gdy Magdalena była jeszcze małą, zwykła była mówić przez całą drogę, aż do znużenia, teraz było inaczej — nie było żadnego opowiadania, żadnych poufnych zwierzeń. Magdalena była pogrążoną w zadumie, lub oglądała się z ciekawością nie zwierzając się przed Violettą z odnicsionych wrażeń.

Przeszedłszy ulicę Turenne, zagłębiły się w istny labirynt wąskich uliczek ciągnących się do ulicy du Temple, której niejeden rodowity Paryżanin nigdy nie dotknął swą stopą. Na ulicy de Santange weszły do kamienicy, skąd przez brudną sień i źle wybrukowane podwórze dostały się do swego mieszkania.

— Pani Janissert biegnie za nami, ma jakiś list dla ciebie.

Był to dośc duży, gruby list, starannie zapieczętowany i zaadresowany do pani Noirmant,

Violetta odebrała list i poszła z Magdaleną po wschodach na górę. Kiedy weszły do swego małego mieszkania na drugiem piętrze, otworzyła kopertę, wyjęła dwa ostemplowane arkusze i rzuciwszy na nie okiem. powiedziała z uśmiechem:

— Czy wiesz, co ten papier znaczy?

— Skądże mogłabym to wiedzieć?

— Przypatrz się dobrze tym arkuszom, bo one stanowią nasz majątek.

Magdalena zdejmująca obojętnie kapelusz z głowy, jednym skokiem znalazła się przy Violecie.

— Nasz majątek?

— Tak jest.

Młoda kobieta usiadła na czerwonej kanapie i rozglądnęła się uważnie po pokoju swojemi, zawsze jeszcze ślicznemi, ciemno-fiołkowemi oczyma.

Był to bardzo skromny pokoik, po którym sądząc łatwo było można odgadnąć zaledwie wystarczający byt jego mieszkanek. Znawca pary skich stosunków za pierwszym rzutem oka oceniłby roczny dochód obu pań na cztery do sześciu tysięcy franków.

Ten stopniowo z największym trudem umeblowany pokój, przypominał Violecie żywo czasy ciężkich prób, w których dnie tak powolnie, a lata tak szybko mijały.

Przypominała sobie to straszne wejście do pustego, odbijającego każdy odgłos pokoju, to śmiertelne zimno, w którem zdawała się zastygać krew i serce, kiedy tu po raz pierwszy przybyła podczas pierwszego ponurego wieczora w listopadzie.

— My tu przecież nie zostaniemy? — zapytała wtedy z przestrachem Magdalena.

— Niestety, musimy zostać — odpowiedziała Violetta.

Pod nazwiskiem pani Noirmont tu osiadła. Magdalenę podała za swoją córkę; zawsze było lepszem, aby ludzie o tem wiedzieli, jak żeby się domyślali.

Cały poprzedni rok przeżyły częścią u Reparaty, częścią w angielskiem prowincyonalnem mieście, było to dostatecznem dla zatarcia śladów przed tymi, którzyby jej szukali...

Czy szukano zresztą za nią? Czy pamiętano jeszcze? Czy nie zapomniano może o niej bardziej, niżby sama sobie życzyła?

W każdym razie w tem zapadłem przedmieściu w pośród robotników i mniejszych kapitalistów, mogła żyć w zupełnem zapomnieniu. Tu mogła znaleźć jeśli nie szczęście, to przynajmniej — spokój kamienia, ciśniętego w kałużę.

Dzięki zabiegom sióstr z Mountzion, które mimo własnego zamknięcia utrzymywały przecież pewne stosunki z państwem żyjących, udało się Violecie otrzymać posadę na samym wstępie powrotu swego do Paryża.

(C. d. n.)